Rozmaitości

DNIA 21. LUTEGO Ner 8. 1835 ROKU.

PARYŻ JAKI BYŁ, I JAKI JEST.

Z dzieł H. L. Bulwera.

Często nad tém podziwiałem się, dla czego czas tak wielkie podobieństwo zostawia między wiekiem a wiekiem, czas, który wszystkie żywioły istnienia ludu wstrząsa i przerabia. W życiu narodu, równie jak i w życiu indywidualném, ciało odmienia wielokrotnie wszystkie swoje cząstki składowe; a jak rzut oka na zégar słoneczny powiada nam o drodze jaką skazówka odbyła, tak podobnie rozsądny wzrok czyta dzieje państw z rozłożonych na stole gazet.

Pewien Sycylijczyk daje następujący rys Paryża z czasów Ludwika XIV: »Bez przesady (powiada on) uważać można Paryż jako niezmiernie ogromny *hotel*: wszędzie kawiarnie, knajpy, szynkownie i tychże miłośnicy; wciąż kurzą się kuchnie, a jedzeniu nie ma końca. Zbytek w Paryżu ogromny; zamożność tej stolicy zbogaciłaby troje miast. Wszędy bogate, pyszne sklepy, gdzie wszystko kupisz bez czego obejść się można, jak równie bez czego obejść się trudno. Każdy o wystawne ubiega się życie, najuboższy szlachcic zawiści swemu bogatemu sąsiadowi, i radby mu sprostał. Bez wstążek, bez źwierciadła niepodobna żyć Francuzowi. Moda jest niezbędnym nałogiem narodu, płeć jedna jak druga równie próżna i rozkoszy użycia szukająca; a jeźli kobiéta i kroku bez źwierciadła nie stąpi, to zdarza się widzieć mężczyznę na otwartéj ulicy muszczącego perukę swoję. Żaden lud nie jest tak przewodzący, tak śmiały, jak Paryżanie; swoją lekkomyślnością chełpią się nawet, i twierdzą, że tylko im samym wolno łamać słowo bez nadwerężenia honoru. Im więcéj ci chodzi o skromność i rozsądek, tém więcéj spotykasz galanteryi i ugrzecznienia. Wejdziesz do sklepu, tysiąc rzeczy wprzód ci naplotą, nim na tę przyjdzie kolej, za którą przyszedłeś. Nader ujmujący jest sposób obejścia się wyższych stanów; są tu na urząd mistrzowie grzeczności, i zdarzyło się, że mi jakaś ładna dziewczynka chciała komplementa sprzedać. Małe pieski są pieszczotą kobiét; kobiéty rozkazują swoim małżonkom, a posłusznémi nikomu być nie chcą; ubiérają się bardzo powabnie, w każdéj godzinie widzialne, rozmowę lubią namiętnie. W czasie postu lud idzie z rana na kazanie, wieczorem na komedyją, z równym zapałem i z równą gorliwością. Młodzież zastaniesz zawsze na balu, starzy skracają czas grą w karty i kości, albo pogadanką o dziennych nowinkach. W Tuilerijach stek wszystkich próżniaków i wszystkich, którzy bez wiele zachodu rozrywki szukają. Czokolada, herbata, kawa, w wielkiém używaniu; ostatnia ma przed innémi piérwszeństwo, służy bowiem za środek ku wzmocnieniu duchów żywotnych. Pewna dama odbiéra wiadomość, że mąż jéj poległ w bitwie: »O ja nieszczęśliwa!« zawołała: »Dajcie mi prędko filiżankę kawy!« Kobiéty wyjeżdzają z domu na mułach, mężczyzni brną po błocie w ciężkich wysokich butach. Fiakry są stare, zjeżdzone, błotem okryte; szkapy nic ściérwa nie mają na gnatach, woźnica grubijanin, z chrapliwym przestrasznym głosem, a trzask ich biczów zwiększa do tego stopnia ten hałas, że nim się łoskotny powóz z miejsca ruszy, już myślisz, że wszystkie furije wypuszczono, aby napełnić piekielnym wrzaskiem cały Paryż.«

Takim był Paryż przed sto laty; teraz pomyślmy jak potężne zmiany od owego zaszły

czasu, pomyślmy, żeśmy przeżyli Lawa, Woltera, Russa, bachanalije i bankructwa rejencyi, panowanie Ludwika XV., zgrozę rzeczpospolitéj, wojny cesarstwa, nakoniec długą walkę pod restauracyją. Wejdźmy w to wszystko i powiedzmy, miarkując z powyższych zarysów, azali przeszłość z teraźniejszością nié ma największego podobieństwa? Azali Paryż pod Ludwikiem Filipem nie zatrzymał głównych rysów obrazu Ludwika XIV.

To prawda, Paryż się zmienił: Już kobiéty nie jeżdżą na mułach, mężczyźni nie trefią na ulicach fryzur swoich, kupcy z nadzwyczajnéj utracili uprzejmości; o mistrzach grzeczności, jak i o młodych panienkach, przedających komplementa, ani słychać. Pod rządem poważnym już nie są Paryżanie tak lekkomyślnémi, jak byli; próżność, wygnana niegdyś do budoarów i toalet, wyższy lot przybrała, szeroko rozpiéra się na polu marsowém, albo i do izb się wciska. Namiętności nie starzeją się, lecz nowa machina wycina im inne kształty i ze starego tworzywa nowe wyrabia postacie. Jawnie to wiedziémy, jakie odmiany wypływają z innych ustanowień, z innych ideów; a duch ludu, który charakterowi ludu wyższy lot nadał, oskrobał i oczyścił fiakra, rozszérzył ulice i dwiestu poddanych J. K. Mości rocznie przy życiu zostawił.*)

Nie małyto dowód, jak wiele z nowémi ustawami, z nową ideą na lepsze się odmieniło; ale oraz widziémy, jak nowe prawa, nowe idei wiele do odmiany pozostawiły. Dążność i popęd przewodzenia, żądza podobania się, miłość do strojów, nagłe przejście z jednéj do drugiéj namiętności, miłość własna, płochość paryzka, wszystko jest jeszcze i dziś, jak było za wielkiego monarchy, jakoż i stan moralny towarzystw jeszcze zawsze przypomina słowa Montesqieu: »*Que le Français ne parle jamais de sa femme, parce qu'il a peur d'en parler devant des gens, qui la connaissent mieux que lui.*« Powtarzam, że Paryżanin zawsze tak płochy, jak niegdyś. W czasach staréj hierarchii stanów i rzemiosł, w niczém nie mógł być więcéj niestałym, jak tylko w swoich uciechach. Drogę, którą miał do grobu przebywać, już od kolebki wytkniętą widział, tak, że jeźli kto lokajem się urodził, mógł się najwięcéj tego spodziéwiać, że piwniczym umrze. Życie Paryżanów inny wzięło obrót; rzut oka na miasto najlepszym dowodem. Nowy duch, duch przemysłu, zarobku, pracy, równie miasto jak i mieszczan na innych przerobił; giełda jest pomnikiem teraźniéjszości, nawet ognie sztuczne i tańce z dawnych swych siedzib wyparte, a Beaujon i Tivoli pustkami już stoją. W politycznem życiu tego lekkiego, lekkodusznego ludu równie maluje się charakter jego, jak w jego rozrywkach i uciechach, a między przyczynami w owéj smutnéj toni 1830, górował brak rozmysłu; gdy kapitalista wplątał się w interes, którego wcale nie rozumiał, i nagle, bez zastanowienia się, kapitał swój z jednéj przemysłowéj gałęzi na drugą przerzucał; czynił to, bo niczego spodziéwać się nié miał, żadnych wypadków obrachować nie mógł, i nieustanną tylko dręczył się żądzą odmian i nowości. *Du reste*, i teraz może Paryż za wielki *hotel* uchodzić. Znajdziesz tam 800 kawiarni, 1000 traktyjerni, w których od złota, malowideł i kryształów palą się ściany, gdzie stół srébrem zastawion, gdzie ci *garçon* ze swojém: »*Que demandez vous, Monsieur?*« podaje kartę obiadową, dwieście artykułów mieszczącą. Znajdziesz tam 192 publicznych miejsc rozrywki, ilość zaś szynkowni przed rogatkami, gdzie lud niedzielę swoję przepędza, nie wchodzi w tę liczbę. Każdego wieczora 20,000 ludu mieści się w teatrach, pięć publicznych biblijotek i sto czytelni nigdy próżne nie są, a tyle prawie jest sławnych tancmistrzów, ile sławnych nauczycieli matematyki.

Żądza rozrywek, przesycenie życia, brak wiary i moralności napełniają domy gry, plac trupów *(morgue)* i dom podrzutków. Żadną miarą jednakże uskarżać się nie można, aby polityczne wypadki w obyczajach Paryżanów za wiele zmian zrządziły, ale owszem utęskiwać należy, że je za mało odmieniły; i w tém właśnie nieszczęście. Wszakże w tém wszystkiém przecież jedna daje się postrzegać zmiana, do któréj bieg wypadków potężnie przyczynił się, lubo nad nią w ostatnich latach starego rządu i czas, i charakter narodowy pracowały wspólnie. Powolne równanie się rozmaitych stanów, które stary

*) Przed rewolucyją przejeżdzano powozami 200 ludzi w przecięciu co roku.

obyczaj w rozdzieleniu trzymał, byłoby i bez gwałtownego wstrząsnienia, za którém wszystko się zmiejszało, naturalnym biegiem rzeczy udzieliło wyobrażeń i nałogów klassy jednéj, klassie drugiéj. Dziś nie widać w Paryżu szlachty, któraby na kredyt żyła i upadek swego majątku na widok chełpliwie wystawiała. Familije, zamieszkujące obszérne *hotele* na przedmieściu *St. Germain* są lepiéj urządzone, gospodarniéjsze, moralniéjsze, niż wprzódy.

Ale gdy w zmysłowym narodzie obyczaje klas niższych do wyższych się wciskają, więc w tak próżnym narodzie tém bardziéj obyczaje klas wyższych do niższych przechodzą; tym sposobem ton i ułożenie staréj arystokracyi na istotę klas średnich daleko silniéjszy wpływ wywarły, niźli obyczaje klas średnich na arystokracyją. Między szlachtą urzędników, kupców i kapitalistów panuje teraz największy zbytek, do którego wprawdzie niegdyś podobni ludzie wielką mieli ochotę; ale ten zbytek rzadko u nich zdarzało się widzieć. Dobry byt stracił na swoim dawnym arystokratycznym blasku; ale gdy się powierzchownie więcéj obywatelskim zrobił, przezto samo w drobnostkach stał się wyszukańszym: »Za moich czasów,« rzekł do mnie pewien stary szlachcic, »bogacze żyli wystawniéj, mieli więcéj koni, więcéj srébrnych naczyń, więcéj sług; ale bielizna stołowa nie była tak cienka i czysta, a salony tak dobrze oświécone. Stan mieszczański zupełnie był odrębny; żył oszczędnie, zbijał grosze, nie w tym celu, aby kiedyś sam się miał uszlachcić, ale w zamiarze, aby to przynajmniéj jego prawnuków spotkało. Syn kramarza nabył urzędu, a syn jego poszedł na wyższy; tym sposobem familije przychodziły od łokcia do znacznych urzędów, nawet i do parlamentu.« Z rozszérzeniem się wiadomości i podziałem majątków, wcisnęły się skłonności i obyczaje w stan niższy, które przedtém skażone i przesadzone, w szczupłém tylko stanu wyższego mieściły się kole. Mniéjszość zbyła się pochopu do roztrwaniania, większość nabrała smaku do pewnego rodzaju wystawy. Mniéj znajduje się ludzi, którzy swoję majętność roztrwaniają, a mniéj jeszcze, którzy są oszczędnemi. W tém, jak we wszystkiém uderzającą jest powszechna jednostajność charakteru Paryża w r. 1834. Paryżanie, biorąc podług większéj massy, są w obyczajach, w obcowaniu i mowie, jakby z jednéj formy ulani. Ostatnia rewolucyja zdaje się, że dokonała dzieła Prokrusta i wszyscy są, jakby na jednę miarę, wyciągnięci lub skróceni.

Pan wielki na wojennym rumaku, okryty perłami, w stroju, który go 50,000 liwrów i więcéj kosztował, już się nie pokazywał więcéj po piérwszych rządach Ludwika XIV. Arcybiskup z kościelną pompą, dworzanin z poszóstną karétą, świetną liberyją i *luframi*, znikł zaraz po 1789 roku. Marszałek państwa z swoją wyniosłą poufałością, z swoim pyszno stąpającym rumakiem, i z całym wojskowym przepychem, pożegnał Paryż z 1815 rokiem. Stary szlachcic wieśniak, wyprostowany, jak świéca, w łoskotnym powozie, dumny rodowodem swoim, dumny z mianéj kiedyś mowy, z uśmiéchu ministra i kadzideł *Quotidienny*, już od roku 1830 nie pokazuje się na ulicy; ale pojrzyj na tę jednogatunkową massę 80,000 gwardyi narodowéj, i piętnastu tysięcy wyborców; w tym gminie stoją obok siebie gazeciarze, jenerałowie, bankiery, cyrulicy, najmożniéjszy kapitalista, i najuboższy kramarzyk; wszystkie klasy objęła niezmierna średnia klasa; klasa, która nie jak stan średni w Anglii tylko pieniądze zbiéra, i z rodziców pochodzi, którzy toż samo robili; ale jestto średnia klasa wszystkich stopni i rękodzieł, która nie stoi między *gentry* (szlachtą) i ludem, lecz między pospólstwem a monarchą. Na ulicach, spacerach, w teatrach, ten stan przewodzi, wałęsa się na bulewarze, śmieje się na głos w teatrze *Variétés*, w zwyczajnym surducie pokazuje się na operze, udziela wszystkiemu swojéj błogiéj, wolnéj, niewymuszonéj istoty, i Paryż przybiéra barwę jego obyczajów, tak, jak je niegdyś ubarwił charakterem rozrzutnika z jednéj, a skromnego mieszczanina z drugiéj strony; te więc same przyczyny jednę część towarzystwa poważniéjszą, drugą weselszą zrobiły. Mało jest ubogich, mało bogatych, mnóstwo pędzi za uciechami; a tak wszystko polega na téj mieszaninie szczupłych środków, a ogólnego pociągu do zmysłowego użycia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W Y J Ą T E K
Z PIEŚNI TRZECIÉJ, Z POWIEŚCI:
OBRONA TREMBOWLI;
NAPISANEJ PRZEZ
ALEX. DUNINA-BORKOWSKIEGO.*)

W Gródku nad Dniestrem cały zamek płonie,
Okna w około złoty wiją wieniec,
Jak panna młoda, gdy uwieńczy skronie,
Jak w ślubnych szatach młody nowożeniec;
A blaskiem z chłodnéj wynęcone toni
Dziewice Dniestru krążą jak łabędzie,
Złocistém skrzelem jedna drugą goni,
Srébrzystą pianą pluska w lekkim pędzie;
To się ciekawie wyślizną na brzegi,
To znowu nurki i powodne tany,
A piersi drżące, i bielsze nad śniegi,
Z rozkoszą ściska księżyc rozkochany.

Zamkowa sala odziana spaniale;
Podłogę pokrył kobierzec bogaty,
Na który zręcznie w różnobarwne fale
W Rzymie rozsypał Włoch niezwiędłe kwiaty;
Pną się pąsowe pokrowce po ścienie,
U góry plotą równiankę bisiory,
I złote tarcze, herby i pierścienie,
Skóry tygrysie, niedźwiedzie kędziory,
A w środku sali, naczyniami dumne,
Bielą się stoły, jak skały śród wody,
Na których ręce czarownika umne
Pozakładały zaklęte ogrody.

Szeregiem srébrne ciągną się puhary,
Jakby ulice, tędy i owędy,
A ciasta, tace i dzbanki i czary,
Jak kwiaty, kląby, trawniki i grzędy.
W koło za sobą jak rybacy pędzą,
W złociste misy usiadłszy jak w łodzie,
Pieczonki, które ołowiem i przędzą
Złowił myśliwy w lesie, albo w wodzie;
A nad skałami i nad ogrodami,
W bukiet się zbiegły drżących gwiazdek krocie,
Ciągle mrugają złotémi oczami
I wszystko w swojéj nurzają pozłocie.

Dalej przy murze, jak reduta stała
Sofa, pobita niebieskim atłasem,
Który pokryła Greczynki dłoń biała,
Z szczérego srebra wyszywanym lasem;
W lesie doliną srébrny potok bieży,
I srébrna chata stoi przy potoku,
I przy téj chacie srébrny wyżeł leży,
I srébrny orzeł żegluje w obłoku.
Na sofie siadła księżna nad potokiem,
Z listkami dębów igra drobną dłonią,
Toczy po ścianach rozigranem okiem,
Zawój jak księżyc płonie jej nad skronią.

Rzęsisto świécą na białym muszlinie,
Utkane złote motyle i ryby,
Kwiaty, robaczki, drzewa i świątynie.
Przy piersi kaftan szczéro-złotéj *diby*.*)
Daléj z *koftyru* purpurowa szata,**)
Złotémi gwiazdy jak niebo zasiana,
A w każdéj gwieździe ozdoba bogata,
To szmaragd jasny, to perła rumiana;
Na śnieżnéj piersi z rubinów noszenie,
Na licu obłok, podwikę z muszlinu
Jaśnie rozrzadza promienne spojrzenie,
Na nóżkach *baczmy* z miękkiego tekinu.***)

A na około siedzieli bojary,
I mandarynki mieli sobolowe,
I z karmazynu jasne szarawary,
I środkiem sukien pasy dyftykowe.
A przy kindżałach za pasy wetknięte
Wiszą, na srébrne taśmy nawleczone,
Złote krzyżyki i koronki święte,
A buty żółte haftem ukwiecone.
W tém nadszedł Dunin z okazałą świtą.
W tysiącznych tęczach, jakie światło ciska!
Pali się czapka brylantową kitą,
Co w cztéry kłosy z rubinu wytryska.

Tli purpurowy kontusz z aksamitu,
A po nim znowu brylantową rzéką,
Aż po pas perski od samego szczytu,
W dwa rzędy perły uryjańskie cieką.
Jaśnie się niecąc soliter wesoły,
Rozséła z szpinki różno-barwne tęcze
Na białą szyję i żupana poły,
Jakby z barw siatki usnute pajęcze;
A środkiem piersi po żupana bieli
Toczą się guzy antwerpskiéj roboty,
A pierś od bioder silnym kłębem dzieli,
Jak wąż ognisty, kapiący pas złoty.

Za pasem kindżał błyszczy się tatarski;
Ale nad perły, brylanty i stroje,
Lśni się na licu miąższy wąs sitarski,
W serce księżniczki rzuca niepokoje;
Pierś jéj drażliwa szatami potrząsa,
I już zaciąga westchnień sieć lubieżną.
Zbliżył się Dunin i pokręcił wąsa,
Złożył na czapkę księżniczki dłoń śnieżną
I tak ją poniósł do płonącéj wargi.
Oko nawzajem spotkało się w oku,
Widać w nich teskność i miłosne skargi,
Cisnął dłoń w dłoni i usiadł przy boku.

A na przeciwko znowu sala druga,
I znowu stoły i srébrne puhary,
I tysiąc świateł złotém okiem mruga,
Znowu księżniczka, Dunin i bojary,
Bo w tamtéj stronie szérokie zwierciadło,
Małpując wszystko, cokolwiek obaczy;

*) Dwa wyjątki z tego poematu umieściliśmy w N. 52. Rozm. z r. 1833 i w N. 14. z r. 1834.

*) *Diba*, rodzaj materyi. — **) *Koftyr*, także materyja turecka. — ***) *Baczmy*, obówie tureckie.

Salę i ludzi w głąb ściany wykradło,
Językiem złudzeń postacie tłumaczy;
A w rogu sali, jak w gnieździe jaskułka,
Usiadła z *agą*, z młodym Kantymirem,
Hospodarownéj krasna przyjaciołka,
I piersi, włosów osypała kirem.

Możnego Szturdzy córko czarnobréwa!
I ty westchnienia wskrzeszasz piersią wrzącą!
Gdzie tyle westchnień miłosnych upływa,
Pewno w pokoju musi być gorąco.
Czarownym wieńcem mijają jak fale:
To uśmiéch lekki, to czoła zmarszczenie,
To blask radości, to skargi i żale,
Miłośne troski i serca westchnienie.
W piersiach kochanków marcowa pogoda,
Upały letnie, uczucia majowe;
Jak bluszcz nadzieja rozkrzewia się młoda,
A w koło sępy, zamiecie zimowe.

Każdy z nich głodném okiem czuwający,
Czyli gdzie serca nie zaczepi szponą,
Czy gdzie nie wyssie kropli krwi gorący,
Lub nie rozszarpie zazdrością szaloną.
Księżniczka dzisiaj piękniéjsza jak zawsze,
I gładsze lica, rumieńce ognistsze,
I bielsze czoło, i oczy iskrawsze,
Usta różańsze i zęby śnieżystsze;
A tak brzmi słodko głos jéj polubowny,
Jak struny gęśli budzone z pospiechem:
Bo krasnomowca jestto flet czarowny,
Który na sobie gra własnym oddechem.

Już po raz drugi obleciała czara,
Oczy bojarom śmieją się weseléj;
W tém do Dunina córka hospodara
Głośno zaczęła, a wszyscy milczeli:
»By ziem obszérnych zrobić cię dziedzicem,
»Ściągnęłam wojska w śmiałém przedsięwzięciu,
»I wyznać muszę z zapłonioném licem,
»By szczęście znaleźć w miłości objęciu.
»I gdzież ta mara, którą drżącą dłonią
»Ciągle ścigała moja myśl dziecinna?
»Ach! już się więcéj nie upomnę o nią;
»Jam ją wyśniła, i jam tylko winna.

»Jeżli wierzyłam tylu rajskim chwilom,
»Jeżli mię zwiodły twoje oświadczenia.
»(Lecz któż się oprze tym złotym motylom?)
»Zbładziłam jednak — żądam przebaczenia!
»Nie darmo były zawalone bramy,
»Już ci się przykrzym, już ci z nami nudno;
»Pokazać drogę, którą wszyscy znamy,
»Kiedy ja proszę, to dla ciebie trudno.
»Dotrzymam słowa, a moi żołniérze
»Nie będą w twoich siołach rabowali,
»Com ci przyrzekła, przyrzekałam szczérze,
»Dotrzymam słowa, ale pójdę daléj.

»Jutro ten zamek na zawsze porzucę,
»Żołniérz mój pójdzie do boju z ochotą.
»Już cię powrotem więcéj nie zasmucę,
»A czy zapomnę — nie pytaj się oto.«
Jak lasy szumi gromada wesoła,
Gwarzą i koło zapełniają ściśléj,
A Dunin rękę tak cisnął do czoła,
Jakby chciał wstrzymać i przytłumić myśli:
To w życiu mojém najtrudniéjsza chwila,
Jeszcze raz taka, już jéj nie przeżyje.
Ha! proszek, proszek, piekło mię posila,
Dam go księżniczce, niechaj się napije.

Mnie lud potępia i kościoł wyklina,
Światam się wyrzekł, bo dla niéj... A ona?
Ona porzuca, a nie zapomina!
Jak upior łaknie krwi z mojego łona. —
Zerwał się nagle, przed puharem staje,
I proszek sypie do miodu nieznacznie;
Na czapce kubek księżniczce podaje,
Tłumi uczucia i tak mówić zacznie:
»Pijmy na rozbrat! jutro o téj porze
»Wszystko przeminie, pójdzie w zapomnienie,
»Chyba, że komu, jak zgniliznę morze,
»Jakiego trupa wyrzuci sumienie.

»Śród burzy zdarzeń gdy zły los ciemięży,
»Ten pozorowi, ów chuciom dogodzi.
»Choć osiérociał, jednakże zwycięży,
»Kto serce czyste uniesie z powodzi.
»Baczmy (że burzę gdy się uda przebyć,
»Gdy się świat przeje i z obojętnieje),
»By nożem spomnień samobójcą nie być:
»Bo za grób jeszcze sięgają nadzieje.
»Dla ciebie wszystkie świata zalecanki
»Poświęcę chętnie na najmniéjszą wzmiankę;
»Bo nawet życie dałbym dla kochanki,
»Dla kraju dobra życie i kochankę.

»Sroga nas ręka na zawsze rozdziela,
»Na pożegnaniu bierzmy pozdrowienie,
»Może ci kiedyś pamięć przyjaciela
»Albo wstręt zbudzi albo rozrzewnienie.«
Słucha księżniczka mowy bezprzytomnie,
Czaszę do wargi przytknęła, wypiła:
»Słowa jak strzały obiły się o mnie,
»A jam je wszystkie zniosła i przeżyła.«
Na serce upadł trunek zaprawiony,
I ogniem członki podpala, wygina,
Kipi krew w żyłach, a umysł wzburzony
Myślą i chęcią goreje, jak szyna.

Minęła chwila przeciągła milczenia,
Smutek się zgęszczał na kochanków twarzy.
Słychać szeptanie i tkliwe westchnienia,
Dunin i długo i z zapałem gwarzy,
I łzy pociekły z czarnych księżnéj oczu,
Spłynęły usta odwilżyć gorące,
I tak jak perły błyszczą się w warkoczu,
A jak łzy duszy płyną słowa drżące:
»Kraju nie trzeba do moich rozkoszy,
»Na co mi mitra i książęce stroje,

»Jeżeli boleść sen z powieki płoszy,
»Jeźli mnie serce nie nawidzi twoje?
»Na co wielkości? na co mi krwi cudzéj?
»Na co mi blasku, który nie ogrzéwa?
»Niech mię odstąpią i krewni i słudzy,
»Kiedy ty kochasz, ja będę szczęśliwa.
»Kto się dla świata zrzekł cichéj swobody,
»Ściga obłudnie malowane raje,
»Poświęca serce, utraca wiek młody,
»A świat nawzajem tylko czczość mu daje.
»Jutro me wojska odeślę do domu,
»Tam już każdego wygląda dziewica,
»I wzdycha ciężko, płacze potryjomu;
»Sama zostanę, i — zdradzę rodzica.
»Tamby mię pamięć struła sen na wieki;
»Tutaj — na piersi twéj w wieczorną ciszę,
»Wycałowane złożywszy powieki,
»Spiéw mię słowika do snu ukołysze.
»Lekko jest, słodko, w najprzykrzejszą chwilę
»Porzucić ojca, dom i przyjacieli,
»Aby wyrwawszy z serca ciała tyle
»Nakarmić miłość i umiérać śmieléj.«

OSTRYGA I PROCESUJĄCY SIĘ.

— Podług Balathiera. —

...ad vocem: »żenić się.«

Słyszeliżeście wćpanowie kiedy co oryginalniéjszego?

»Mów wćpan.« (Ażeby lepiéj słyszéć, otoczono go w około; on zaczął opowiadać):

Macie wiedzieć, że pomimo niewiadomość waszę o moim smaku, ja nade wszystko dwie rzeczy z całego serca lubię.

»Jakież?«

Gaiki i Bajki; ale ma się rozumiéć Bajki Lafontaina, bo jak sądzę, my innych nié mamy. Mając Lafontaina w mojéj biblijotece, a gaik w blizkości mojego pomieszkania, jestem od wszelkich nudów zabezpieczony.

Będzie temu lat sześć albo siedm, gdy Bajki Lafontaina, te domowe bogi, wziąłem z sobą do lasku Boulońskiego. Ach, ten luby, tak często spotwarzany gaik! Odbierano mu roślinną sławę, śmiano się z jego ulic bez drzew, z jego drzew bez liści, z jego liści bez cienia. Ale was zapewniam, że gaik ten dla spokojności małżonków i matek, ma tego wszystkiego jeszcze za wiele. Tam rozkosz prawdziwa! tam się kochają, tam się zabijają, podług upodobania. O, znam ja potwarców jego; sąto właśnie ci sami, którzy gaikowi temu najwięcéj wdzięczności winni. Tak mu właśnie się dzieje, jak pewnym wujom, opiekunom. W potrzebie pomocy udajemy się do nich, a potém śmiejemy się z nich. Proszę mi przebaczyć, może za nadto gorąco bronię sławy gaiku Boulońskiego. Alež mogęż inaczéj? Nie znam żartów gdy idzie o sławę przyjaciela mojego, a lasek ten jest jednym z najlepszych moich przyjacioł. Sami to przyznacie.

Pewnego pięknego poranku przechadzałem się po nim, jak zwykle z Lafontainem w ręku. Nie możecie sobie wyobrazić, ile Lafontaine zyskuje, gdy się go czyta pod gołém niebem. Oddechając świéżém, wonném powietrzem, słysząc spiéw ptasząt, widząc jak wierzchołki starych dębów od wiatru się poruszają, i patrząc wreszcie, jak mała mrówka skrzętnie chodzi około swojego szczupłego gospodarstwa — zdaje się w istocie, jak gdybyśmy żyli w krainie bajek i wtedy łatwo zaiste zostać dobrym człowiekiem. Ledwiem się przechadzać zaczął, ujrzałem dwóch młodych ludzi, zbliżających się ku mnie.

»Mam z panem słowo pomówić,« rzecze z nich jeden w postawie niezmiernie grzecznego człowieka, trzymając kapelusz w ręku.

Czy to słowo będzie długie?

»Tak, cokolwiek.«

Na ten przypadek pozwól panie... zagiąłem kartę, na któréj czytałem bajkę, zamknąłem książkę i wziąłem ją pod pachę.

— »Któraż bajkę czytałeś wćpan wtedy?« — Bajkę: Ostryga i procesujący się. —

Teraz, moi panowie — rzekłem — jestem na wasze usługi.

»Przebacz panie, widzisz tu przed sobą dwóch ludzi, którzy chcą sobie gardło poderznąć.«

Wątpię bardzo.

»To się ma rozumiéć, że sobie w łeb wypalą,« rzekł drugi, dobywszy parę przepysznych pistoletów.

Z jakiéjże przyczyny jesteście tak zawzięci na siebie, moi panowie?

»O przyczynie nie mówmy teraz. Postanowienie nasze jest niezmienne. Czy nie chciałbyś wćpan uczynić nam pewnéj grzeczności?«

Bez wątpienia chcecie panowie, abym był świadkiem ich walki?

»Tak jest.«

Jako, moi panowie — rzekłem cokolwiek w złym humorze, bo podobne usługi nie są mi przyjemne — jako, więc żaden z przyjacioł wćpanów nie chciał się skłonić do tego?

»Żaden.«

To rzecz prawdziwie szczególna.

»Chwilę cierpliwości. Powinieneś wćpan wszystko wiedziéć: mamy się strzelać na trzy kroki.«

Na trzy kroki!... zawołałem, i tak skoczyłem w tył, jak gdybym sam w głowę kulą dostał. — Na trzy kroki! A wieciéż, moi panowie, że to jest widoczne zabójstwo?

»Wiemy o tém; ale takie zabójstwo jest właśnie dla nas niezbędnie konieczne. Słuchaj wćpan naszych powodów. Jestem piérwszym pisarzem adwokata N*.«

»A ja drugim, u tegoż samego.«

»Ten pan N* ma córkę...«

»Bardzo ładną córkę, mój panie, którą chcę za mąż wydać.«

Zaczynam się domyślać.

»Słuchaj wćpan daléj: obaj chcielibyśmy o jéj rękę prosić; alęż u licha! obaj z nią żenić się nie możemy.«

Rzecz oczywista.

»Widzisz więc panie, że jeden tylko na to jest sposób.«

I bardzo gwałtowny.

»Mniéjsza o to; ale najprostszy, najskuteczniéjszy.«

Czy wćpanowie koniecznie obstajecie przy swojém?

»Obstajemy, a to tak stanowczo, że gdy nam świadczyć nie zechcesz, my się *inkognito* zastrzelimy.«

Pozwólcież mi dwie minut namysłu. Wćpanowie wiecie, że podobne pojedynki są równie dla pojedynkujących się, jak i dla świadków niebezpiecznemi. Bo gdy jedni głowy swoje narażają, drudzy narażają wolność swoję. Sprawiedliwość jest w tym względzie bardzo przenikliwa.

»O wiemy o tém.«

Dobrze, będę sekundantem wćpanów, ale aż za miesiąc.

»Za miesiąc.«

Cóżto szkodzi? Co się odwlecze to nieuciecze. Wszakże miesiąc nie jest czas tak bardzo długi, a jeszcze ten, który ma tylko dni trzydzieści. W miesiącu uporządkuję moje interesa, pożegnam się z przyjaciołmi i zamówię sobie pocztowe konie. Wkrótce zaczną się

ferie sądowe. Wcpanowie pojedziecie na wieś, do swoich krewnych... lub gdzie się wam podobać będzie... na dzień oznaczony wrócicie do Paryża... przyjdziecie do mnie... tu o dwa kroki przed wstępem do gaiku poczynimy wszelkie przygotowania i tu... możecie sobie wygodnie w łeb wypalić. Czy dobrze tak?

»Zgoda.«

Ale panowie niezawodnie opuścicie Paryż i jeden drugiego nie uprzedzi w staraniu się o rękę owéj panny.

»Przyrzekamy!«

Podaliśmy sobie ręce i każdy poszedł swoją drogą. — Pozwólcie mi panowie napić się wody, zgrzałem się opowiadaniem.

* * *

Dotrzymali słowa, stawili się na czas umówiony. Skoro miesiąc upłynął, zakołatał jeden po drugim do drzwi moich. *Tenaces propositi viri.* Bylito ludzie wielce determinowani.

A bardzo pięknie, moi panowie, rzekłem. Jesteście mężami honoru. Nie zechcecież wejść do mojego pokoju?

»Po co.«

Zaraz się o tém dowiécie. — Prosiłem, ażeby usiedli, a sam wziąłem Lafontaina, i otworzyłem książkę w tém miejscu, gdziem był przed miesiącem kartę zagiął. Czytałem:

Ostryga i procesujący się.

Dwaj podróżni brzegami morza idąc razem,
Widzą na piasku leżącą
Ostrygę, i wielkością i smakiem nęcącą,
I obaj ją chciwości witają wyrazem.
Gdy byli głodni, więc nie dziw to wcale,
Że każdy okiem w jéj powabach tonie,
Że każdy w żądzy zapale
Ku niéj wyciągnął swe dłonie.
»Hola mospanie!« z nich jeden zawoła,
»Nikt téj ostrygi wydrzéć mi nie zdoła,
»Ja byłem piérwszy, który ją ujrzałem.«
— »A jam był piérwszy, co ją podnieść chciałem.«
Zawołał drugi, i obaj zwaśnieni
Mało się za łby nie chwycą;
Gniew im policzki rumieni
Oczy tleją łyskawicą.
»Chodźmy do sądu,« razem się ozwali,
»On dając wyrok, niezbłądzi;
»On sprawę naszę rozsądzi
»Na sprawiedliwości szali.«
Wziąwszy ostrygę poszli razem z sobą,
Przed sędzią stają,
Całą mu sprawę opowiadają,
I każdy chce go swoją przekonać żałobą.
Słucha ich sędzia, ostrygę odbiera,
Na znak dowodu otwiéra,
I gdy w myśl procesu wnika
Sam ją połyka. —
A do zdumionych rzecze w wyroku osnowie:
»Zgódźcie się moi panowie,
»Jeden drugiego niech nie będzie wrogiem,
»Macie skorupy; idźcie z Panem Bogiem.«
Z téjto bajeczki te myśli się jawią:
Że zgubne zawsze jest procesowanie,
Zysk wezmą sędzie za wyrok i zdanie,
Tylko skorupy stronom zostawią.

»Jeżelito ma być zagadką,« rzecze z nich piérwszy, wyznaję, że jéj wcale nie rozumię.«

»I ja to samo,« zawołał drugi.

Więc ją wćpanom rozwiążę. — Moi panowie, mam zaszczyt przedstawić wam żonę moję.

»Boże! wszakżeto ona!«

Tak jest. ona sama. Chcąc spór wćpanów pogodzić, połknąłem ostrygę.

»A, to przedziwnie!« uśmiéchnąwszy się kwaśno zamruczał pod nosem jeden z pisarzy; »ale gdzież są dla nas skorupy?«

»Po części w przyjaźni mojéj,« odezwała się żona i podała im rękę.

I w stu tysiącach franków, rzekłem; jeźli który z wćpanów zechce się trudnić adwokaturą.

Nie dawszy się długo prosić przystali na to; jedliśmy śniadanie bardzo wesoło.

Ich interesa, jak mówią, idą teraz jak najlepiéj w stolicy. Obadwaj mają procesów bez liku. Teraz na nich przyszła kolej zjadać ostrygi, a kto wié, może dla siebie zostawiają i skorupy.

— Ze Lwowa. —

Lwów liczył r. 1834 doktorów teologii 9; prawa 49; filozofii 19; lekarzy praktykujących 30; profesorów uniwersytetu 28, adjunktów 4, profesorów akademii 8. — W dwunastu gimnazyjach Galicyi było r. 1826 wszystkich uczniów 4,515, w r. 1833: 3419, a zatém pomniejszyło się w gimnazyjach o 1096 uczniów, czyli o czwartą część prawie.

Uczony Dobrowski pisze z wielkiémi pochwałami o polonesie w swojéj »Sławiance;« równe pochwały tańcowi temu oddaje Rohrer (były profesor uniwersytetu lwowskiego) w dziełach swoich, zwyczaje i obyczaje kraju naszego opisujących. Powiada on, że taniec ten ma pewną wrodzoną gracyją, któréj wszystkiémi uczonémi i wymuszonemi figlasami i wymysłami osiągnąć nie można. Podług Słownika Konwersacyjnego: charakter polonesa jest uroczysta powaga. L. F. Bousset w dziele francuzkiém: Pamiętniki i Anegdoty i t. d. przywodzi następujący szczegół historyczny o polonesie: »Na balach dworskich podczas kongresu wiedeńskiego nie tańczono kontradansów. Polones podobny do marszu, bardziéj harmoniował z majestatycznością kongresu. Gdy zaś kierunek tym tańcem jedynie od dowodzcy kolumny zawisł, którym zawsze Alexander, cesarz rossyjski bywał, opuszczał przeto salony, i postępujący za sobą szereg tańcujących wodził przez obszérne, rozległe piętra i krużganki pałacu. Nie przewidziane obroty tego rodzaju przerywały częstokroć surowość etykiety, do czego nie mało przyczyniała się sama istota tego tańca, pozwalająca podeszlejszym w wieku nawet osobom miéć w nim uczestnictwo.«

Z Przemyśla. Wydawane tutaj pismo teologiczne pod tytułem: »Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy« zawiéra w zeszycie czwartym z r. 1834 artykuły następujące: 1) Nauka o Trójcy Śtéj (dokończenie). 2) O daremnych obietnicach świata pomyślniejszéj przyszłości za odmianami w krajach i w kościele; o smutnych skutkach usiłowań zdziałania zmian podobnych; z uwagami na czém zasadza się rozsądna wolność i prawa równość, popartémi świadectwem Naruszewicza, wskazującém przyczyny upadku narodu naszego. 3) Myśli, dla czego duchowieństwo stroni tak bardzo od rewolucyj i poruszeń w krajach, i jak się ustrzedź wpływu złego ducha wieku naszego. 4) Dokończenie żywotu i czynów Śgo Wincentego a Paula. 5) Literatura. 6) Rozmaitości: *a)* O liczbie wyznawców różnych religij. *b)* O odszczepieństwie ks. Chatel. *c)* Sekta Irwinga. *d)* Stan szkół dla ludu w Ces. Austryj. z r. 1830. *e)* Charakter Gallów dawnych odbijający się w nowszych. *f)* Obelgi przeciw katolikom miotane. 7) Wiadomość o kościele paraf. i katedr. w Przemyślu. 8) O synodzie dyjecezal. przemys. odprawionym w Brzozowie i o ustawach tegoż. 9) Spis kościołów i dziekanatów dyjecezyi przemys. z r. 1646 i 1723. 10) List pasterski JO. ks. Arcyb. i Prym. Fran. Luszyna, przy objęciu arcydyjecezyi lwowskiéj.

Literatura polska coraz większego nabywa rozgłosu w Niemczech. Staraniem Julijusza Mendelsona wychodzi w Heidelbergu Parnas polski, mieszczący przekłady poetów naszych. Taki sam cel jest wydawanego w Stuttgardzie przez Wernera pisma, pod tytułem: Światła północne.

Książę Gabriel Ogiński otworzył w Paryżu warsztat introligatorski *(Atelier de reliure)*.

Zbiór rękopisów azyjatyckich w Petersburgu pomnożonym został przez c. ros. posła w Konstantynopolu, pana Buteniewa, rękopisem, pod tytułem: »Księga ukrytych tajemnic i zbieracz rozmaitych wiadomości.« Jestto od r. 879 h. (1473) datujące się, wielu obrazami ozdobione i dla nieznanego dotąd emira Mirbasza Shillihdara zrobione rękopismo, należące niegdyś do hr. Wacława Rzewuskiego, i o którém tenże w znanych »Minach Wschodu« wspomina. Rękopismo to, w którém między innémi jest także mowa o ogniach sztucznych, o ogniu greckim i o prochu do strzelania, wielce jest ciekawe. Tutejszy gabinet obrazów powiększony został dwoma mianowicie obrazami, wziętémi z Warszawy i darowanémi przez cesarza jegomości akademii petersburskiéj. Jestto obraz Kopernika i drugi treści alegorycznej, roboty ojca tego wielkiego męża. Ponieważ Rossyja nie ma jeszcze zbioru źródeł do dziejów narodowych, którémi inne narody się szczycą, więc cesarz rossyjski rozkazał, ażeby zajęto się wydaniem zupełnego zbioru tych źródeł, mającego zawierać wszystkie materyjały historyczne najdawniéjszych kronik i dokumentów, sięgających aż do najnowszych czasow.

Rok 1834 zakończył się w Berlinie smutném zdarzeniem. Lubo gazety mówią o kurczu sercowym, nie podpada jednak wątpliwości, że 26letnia, powabna i jenijalna małżonka jednego z tamtejszych młodych poetów lirycznych, pchnięciem się w serce życie sobie odebrała. Puginał, którym to wykonała, znajduje się w sądzie przy obejmujących to samobójstwo aktach. Przynagliwszy prawie męża do pójścia na koncert, użyła czasu tego do spełnienia swojego niecnego czynu, który z rzadką rozwagą wykonała. Wyprawiwszy służącą, umyła się, ubrała się czysto i biało, położyła się na łóżko i przebiła sobie serce puginałem. Boleść jéj zapewne bardzo krótko trwała. Sąsiedzi, usłyszawszy jęki umierającéj, wybili drzwi i znaleźli ją w powyżéj opisanym stanie, leżącą na łóżku. Samobójczyni tak mocno chustką przycisnęła ranę i z taką przygniotła ją siłą, że nawet na chustce mało było krwi znaków. Rozmaite podają powody samobójstwa tego. Tyle wszakże wiadomo, że stadło to, najściśléjszą połączone miłością, żyło w ciągłém omamieniu, albo raczéj w samowłasném oszukaniu. Oboje marząc przesadnie o szczęściu, pochodzącém z czystéj miłości i z uświęcenia przez najwyższe ideje w sztuce i poezyi, mniemali, że w śmiałym polocie bohaterami zostaną, i że będą mogli ziemskiéj rzeczywistości i jéj poziomym roszczeniom odważnie czoło stawić.

Syn wielkiego Szyllera został radzcą sądu apelacyjnego w Kolonii.

Wszystkich niemieckich dyrekcyj teatrów ma być 88, aktorów zaś, spiewaków i spiewaczek blizko 1,800.

Znany autor niemiecki książę Puchler-Muskau, bawi teraz w Algierze i spodziewać się należy, że wyda dzieło o tym kraju.

Pleban jednéj małéj włości w okolicy Paryża, tyle był sobie ze szczupłych dochodów uzbierał, że mógł kupić nowy kielich do swojego kościoła. Udał się w tym zamiarze do stolicy, ale przypadkiem poznał biednego człowieka, któremu za czynsz należny sprzęty sprzedawano. Poczciwy pleban uzbierane 120 frank. oddał woźnym, licytującym rzeczy biedaka, mówiąc do nich: »Kielich mój ma wprawdzie dziurę przez długie używanie; lecz ażeby pomódz biednemu człowiekowi, chętnie jeszcze przez dwa roki tę dziurę przy Mszy ś. palcem zatykać będę.«

Holendrzy przed cesarzem Japonii. Holandyja wyprawiła r. 1690 poselstwo do cesarza japońskiego, któremu towarzyszył sławny jeograf i lekarz Kampfer, i który je także opisał. Posłowie, wezwani do sali posłuchalnéj, musieli na rozkaz cesarza wstawać, siadać, chodzić, właśnie jak gdyby próbował konia. Żądał potém, ażeby sobie czynili komplementa na sposób holenderski, ażeby tańczyli, udawali pijanych, mówili choć źle po japońsku, czytali po holendersku, wdziewali i zdejmowali płaszcze. Nakoniec kazał im wszystkim razem i tańczyć i spiewać. »Ja« mówi Kampfer, »skakałem jak koza, i spiewałem niemiecką piosnkę miłosną.« To tak dalece podobało się cesarzowi, że gdy w drugim roku inne poselstwo holenderskie do jego stolicy przybyło, kazał natychmiast i tych posłów przywołać, wezwał ich, ażeby zdejmowali płaszcze, kręcili się na jednéj nodze, spiewali, tańczyli, kłócili się z sobą, życzyli sobie szczęścia i tym podobnie. Oprócz tego chciał wiedzieć, jaki jest zwyczaj w Holandyi zapraszania na obiad, jak bawi się ojciec z synem, a żona z mężem. Potém przyniesiono Holendrom kilkoro małych dzieci i musieli je to nosić na ręku, to brać na plecy; wymagano od nich wreszcie, ażeby zdejmowali peruki, otrząsali z nich puder, rozpinali sprzążki u trzewików i spodni. Dobroduszni Holendrzy robili wszystko, co od nich żądano, wiedzieli bowiem dobrze, że tém sobie ujmą cesarza, a ten zezwalając im na wolność handlu, tém samém pomnoży ich pieniężne korzyści.

Powód założenia szkół w Rossyi. Po wielkim pożarze w Moskwie r. 1547 oświadczył spowiednik cara Iwana, wraz z zwolennikami swojémi, że pożar w tém mieście powstał przez czary. Rozgniewany car nakazał śledztwo téj sprawy. Bojarowie zapytali lud w Kremlinie, kto Moskwę podpalił, a kilka głosów odpowiedziało: »Książęta Glińscy! Ich matka księżna Anna wyjęła trupom serca, moczyła je w wodzie, i objeżdżając miasto, wodą ową pokrapiała ulice i z tego pożar powstał.« Bajkę tę wymyślili i roznieśli rokoszanie, i z jéj powodu zamordowano rodzonego wuja cara, który od pospólstwa w kościele zabitym został. Wielki książę Włodzimierz, brzydząc się wszelkiém gwałceniem sumienia, a chcąc te przesądy o czarach zniszczyć, osądził za sposób najstosowniéjszy założyć szkoły dla oświecenia narodu, lecz do zapełnienia szkół tych uczniami używać musiał środków zmuszających, bo nawet wyższego stanu niewiasty, uważały te dzieci za stracone, które do szkół posyłano; sądziły bowiem, że umieć czytać i pisać, jestto niebezpiecznem czarnoksięztwem.

Żołnierze tureccy, umundurowani na sposób europejski, dostali zeszłego lata pantalijony z białego płótna. To i przez zimę zostawiono im, co z początku uchodziło, ale gdy ostra zima bardziéj dokuczać zaczęła, żołnierze szemrali i uskarżali się na lekki ubior. Seraskier uznał słuszność skarg ich i by tymże koniec położyć, kazał całemu wojsku patalijony — na granatowo pofarbować.

* * *

Sprostowanie. W N. 7. Rozm. na st. 50, w przed. 1széj, w. 13 od góry, zamiast: traw, czytaj: trwa. Na st. 52. w p. 2giéj, w. 4 od dołu, zamiast *besion*, czytaj: *besoin*; w tymże wierszu, zamiast *enfent*, czytaj: *enfant*. Na st. 54, w p. 1széj, w ostat. wierszu od dołu, zamiast *oblies*, czytaj: *oublie*. Na ostat. stronicy w liczbowaniu stronic, miasto 47, czytaj: 56.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.